

w rzeczach cielesnych. Kiedy z małżeńskiego łoża wygnamy zabawę i śmiech, może się zdarzyć, że wpuścimy do niego fałszywą boginię, nawet bardziej fałszywą niż Afrodyta, którą starożytni Grecy wprawdzie czcili, ale zarazem mieli świadomość, że jest boginią „miłującą śmiech”. Ludzie w swojej masie mają całkowitą słuszość, uznając, że duch seksualności jest po części duchem komicznym. Nie musimy wyśpiewywać miłosnych duetów na łzawą, łamiącą serce modłę niczym Tristan i Izolda z opery Wagnera; śpiewajmy częściej jak Papageno i Papagena.

Seksualność potrafi się strasznie zemścić, jeśli bezkrytycznie uwierzymy w jej powagę. Dzieje się to na dwa sposoby. Pierwszy znajduje ilustrację w niezamierzonym komizmie słów siedemnastowiecznego lekarza i pisarza Thomasa Browne’a, który akt seksualny opisał jako „najgłupszy czyn, jaki mędrzec może w życiu popełnić; bo też co innego może bardziej przygnębić jego umysł po ochłonięciu niż świadomość, jak dziwaczного i niegodnego szaleństwa się dopuścił”^{*} – gdyby nasz mędrzec nie zabierał się do rzeczy z tak śmiertelną powagą, być może przygnębenie nie dokuczałoby mu aż tak bardzo. Gdyby jego rozum nie tkwił w błędzie, po ochłonięciu nie odczuwałby aż takiego obrzydzenia. Ale seksualność szykuje jeszcze inną, gorszą zemstę.

Ona sama jest bowiem duchem kpiącym i psotnym – raczej chochlikiem niż bóstwem – i lubi się z nami zabawiać. Kiedy sprzyjają jej wszystkie okoliczności, albo jedno z kochanków, albo obydwójce okażą się do niej niezdolni. Kiedy zaś nie można jej otwarcie okazać i trudno wymienić choćby porozumiewawcze spojrzenie – czy to

^{*} Thomas Browne, *Religio Medici* (1642), cz. II, rozdz. 9.

w pociągu, w sklepie, czy na niekończącym się przyjęciu – wtedy seksualność spada na kochanków z całą mocą. Godzinę później, kiedy czas i miejsce będą już odpowiednie, tajemniczo zniknie, czasami tylko u jednego z dwojga. Jakież to daje pole dla ambarasu, wzajemnych uraz, użalania się nad sobą, zranionej próżności oraz „seksualnych frustracji”, o których słyszymy dziś bez ustanku – ale tylko jeśli kochankowie uczynili z seksualności bożka! Bo kochankowie rozsądni jedynie się roześmieją. Wszystko to jest częścią owej gry bez zasad, w której ucieczki, potknięcia i bolesne kolizje należy traktować jako żart.

Trudno mi się oprzeć poczuciu, że Bóg zażartował z nas, gdy tak niebosiężną i z pozoru transcendentną namiętność, jaką jest miłość erotyczna, połączył w niespójnej symbiozie z cielesnym apetytem, który jak każdy inny apetyt nietaktownie obnaża pokrewieństwo z tak prozaicznymi czynnikami jak pogoda, zdrowie, krążenie czy trawienie. W miłości erotycznej chwilami wydaje się, że unosimy się w powietrzu, a wtedy seksualność nagłym szarpnięciem przypomina, że jesteśmy tylko balonami na uwięzi. Nieustannie demonstruje, że jesteśmy istotami złożonymi z różnych pierwiastków, zwierzętami myślącymi; że z jednej strony łączy nas pokrewieństwo z aniołami, a z drugiej – z kotami dachowcami. Nie jest dobrze, kiedy człowiek nie potrafi śmiać się z siebie, a jeszcze gorzej jest, kiedy nie umie się śmiać z żartu, który robi Bóg – owszem, może i naszym kosztem, ale też niewątpliwie dla naszego niekończącego się dobra.

Ludzie patrzyli na własne ciała na trzy sposoby. Pierwszym był pogląd pogańskich ascetów, którzy nazywali ciało więzieniem lub grobem duszy, oraz chrześcijan w rodzaju szesnastowiecznego biskupa Johna Fishera, dla którego

było ono „workiem gnoju”, pokarmem dla robactwa, czymś brudnym i wstydlwym, źródłem pokus dla ludzi złych i upokorzeń dla dobrych. Następnie mamy współczesną szkołę neopogańską (choć mało który z jej przedstawicieli włada starożytną greką) – nudystów i nosicieli mrocznych bóstw w krwiobiegu, dla których ciało jest czymś wspa-
niałym. Po trzecie wreszcie mamy pogląd wyrażony przez świętego Franciszka, który własne ciało nazywał „bratem osłem”. Wydaje mi się (choć nie mam pewności), że dałoby się wybronić każdy z tych trzech poglądów, jednak jeśli o mnie chodzi, staję zdecydowanie po stronie świętego Franciszka.

„Osioł” jest tu doskonale trafnym wyborem, bo żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie będzie ani czcił, ani nienawidził osła. Osły to przydatne, krzepkie, leniwe, uparte, cierpliwe, urocze i doprowadzające do białej gorączki zwierzęta. Osioł czasem zasługuje na kij, czasem na marchewkę. Jest zarazem żałosny i absurdalnie piękny. Nie inaczej jest z ciałem. Nie da się z nim żyć, dopóki nie zrozumiemy, że jedną z jego życiowych ról jest odgrywanie błazna i idioty. Ma tego świadomość każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko, o ile nie namieszała im w głowach jakaś teoria. Nasze ciało jest najstarszym dowcipem świata. Bywają chwile, gdy miłość erotyczna (tak samo jak śmierć, rysownictwo czy studia medyczne) każe się traktować z całkowitą powagą. Błąd pojawia się wtedy, kiedy wyciągamy wniosek, że w takim razie już zawsze trzeba ją traktować poważnie i wyrzucić żart na zawsze ze świadomości. Tak jednak nie jest. Jasno dowodzą tego miny wszystkich znanych nam osób, które pozostają szczęśliwie zakochane. Kochankowie, jeśli tylko ich miłość ma szansę potrwać dłużej niż krótką chwilę, raz za razem doświadczają, jak cielesny wyraz miłości erotycznej staje

się elementem nie tylko komizmu, nie tylko zabawy, ale wręcz błazeństwa. Samo ciało byłoby zresztą przeszkodą, gdyby chcieć to urządzić inaczej. Ciało jest zbyt topornym instrumentem, aby mogło grać muzykę miłości, chyba że właśnie tę toporność uznamy za wzbogacenie pełnego doświadczenia groteskowego uroku miłości – niczym poboczny wątek komiczny w dramacie albo antymaska*, na jarmarczną modłę naśladowująca wznioślejsze uczucia doświadczane przez duszę. Tak samo w starych komediach liryczne namiętności szlachetnych bohaterów doczekują się parodii i zarazem potwierdzenia w rubasznym roman-sach ich służących i pokojówek. To, co najwyższe, nie zdoła ustać bez tego, co najniższe. Bywają oczywiście chwile, kiedy w ciele znajduje wyraz poezja najwyższej próby; trzeba jednak dodać, że ciało jest zarazem nieusuwalnym źródłem upartej i niedorzecznej prozy. Jeśli nie daje nam tego odczuć teraz, pocujemy to za chwilę. Lepiej więc osadzić je mocno w dramaturgii miłości erotycznej, gdzie będzie dostarczać chwil komicznego wytchnienia, niż udawać, że go nie zauważamy.

Bo trzeba dodać, że takie komiczne wytchnienie jest nam potrzebne. W życiu jest miejsce zarówno na poezję, jak i na prozę; na powagę seksualności i na jej płochosć, na to, co Katullus nazywa *gravis ardor*, czyli namiętnością rozplomioną pożądaniem. Przyjemność posunięta do skrajności miażdży tak samo jak ból. Tęsknota za wzajemnym zjednoczeniem, które może się odbyć wyłącznie

* Barokowa antymaska była groteskową formą sceniczną (burleską) odgrywaną przez aktorów komicznych i clownów. Antymaska wykonywana była przed maską właściwą, czyli pełnym przepychu przedstawieniem alegorycznym, i zwykle stanowiła parodię fabuły maski.

za pośrednictwem ciała, a zarazem jest niemożliwe właśnie wskutek dzielącej nas cielesnej bariery, może mieć wzniosłość godną metafizycznych dociekań. Miłosny zapał potrafi wyciskać łzy z oczu nie gorzej niż żałoba. Ale seksualność nie zawsze trzyma się „wściekła u gardła ofiary”, jak ją opisuje Racine w tragedii *Fedra**. To, że czasami tak się zachowuje, tym bardziej każe nam zawsze zachowywać wobec niej pewną żartobliwą lekkość. Kiedy rzeczy przyrodzone zaczynają się wydawać boskie, ich demoniczna natura czai się tuż za rogiem.

Taka niechęć do całkowitego zanurzenia się w seksualności – pamięć o jej płochości w chwilach, kiedy widoczna jest wyłącznie powaga – staje się szczególnie istotna w kontekście pewnej postawy, którą seksualność prowokuje u większości kochanków (choć, jak sądzę, nie wszystkich). Bywa, że akt seksualny pobudza mężczyznę do ekstremalnej – choć chwilowej – władczości i dominacji, każąc mu zachowywać się jak zdobywca czy pogromca, a kobiecie przyjmować postawę odpowiednio unizoną i poddaną. Stąd bierze się gwałtowność czy wręcz szorstkość niektórych gier erotycznych, co Szekspir określa jako „uszczygnięcie kochanka, pożądane, choć i boli”**.

Co mają jednak o tym sądzić ludzie normalni? Czy chrześcijanie powinni godzić się na podobne rzeczy?

Myślę, że takie zachowanie jest nieszkodliwe i zdrowe, choć pod jednym warunkiem. Musimy przyjąć do wiadomości, że w seksie mamy wówczas do czynienia z czymś,

* Jean Baptiste Racine, *Fedra*, tłum. Artur Międzyrzecki, Polski Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978, s. 22.

** William Shakespeare, *Antoniusz i Kleopatra*, tłum. Władysław Tarnawski, Krakowska Spółka Wydawnicza, Kraków 1921, s. 209.

co wcześniej nazwałem „pogańskim sakramentem”. Jak zauważyliśmy, w przyjaźni każdy z uczestników cały czas pozostaje sobą, konkretną jednostką. Jednak w akcie miłości erotycznej nie jesteśmy jedynie sobą, stajemy się zarazem przedstawicielami. Nie będzie więc zubożeniem, a wzbogaceniem, kiedy sobie uświadomimy, że oto działają przez nas siły starsze i mniej osobowe od nas samych. Na chwilę działa w nas wtedy cała męskość i kobiecość świata, skupia się w nas cały pierwiastek agresywny i pasywny. Mężczyzna odgrywa wtedy rolę Niebiańskiego Ojca, a kobieta – Matki-Ziemi; on staje się formą, ona – materią. Musimy tu jednak zrozumieć w pełni pojęcie erotycznej „gry”. Oczywiście, że w takim przypadku żadne z kochanków nie „gra roli” w tym sensie, że coś udaje. Ale zarazem każde z nich ma do odegrania rolę w czymś, co z jednej strony można porównać ze średniowiecznym misterium albo rytuałem, a z drugiej z maską* czy wręcz szaradą.

Kobieta, która godziłaby się w pełnym i dosłownym sensie na tego rodzaju skrajne poddanie i uległość, popełniałaby bałwochwalstwo, oddając mężczyźnie to, co należne jest wyłącznie Bogu. Mężczyzna zaś, a więc zwyczajny człowiek, byłby skończonym bufonem i wręcz bluźniercą, gdyby spróbował na serio rościć sobie prawo do władzy, którą chwilowo daje mu seksualność. Przy tym nawet jeśli takiego prawa nie można się ani zrzec, ani go sobie rościć, to przecież można z niego w sposób prawomocny korzystać. Poza tym rytuałem czy teatrem oboje są wszak nieśmiertelnymi

* C.S. Lewis używa terminu „maska” w znaczeniu barokowych przedstawień sceniczno-muzycznych, w których dworzanie w drogich kostiumach występowali przed monarchą z zakrytymi twarzami wśród kosztownej scenografii, odgrywając alegoryczne sceny mitologiczne.

duszami, dwojgiem wolnych dorosłych i obywateli. Byłoby poważnym błędem sądzić, że w małżeństwach, gdzie męska władczość zostaje najsilniej podkreślona w akcie seksualnym, mąż będzie tak samo dominował w całym życiu małżeńskim: już raczej bywa na odwrót. Za to w ramach odgrywanego przez nich rytuału czy teatru stają się bogiem i boginią, między którymi nie istnieje równość – których związek nie cechuje się symetrią.

Być może ktoś zdziwi się, że odnajduję element rytuału czy maskarady w czynności, którą często uważa się za najbardziej nagie i autentyczne z ludzkich poczynań. Czyż nie jesteśmy prawdziwie sobą, kiedy stajemy obnażeni? W pewnym sensie – nie. Zauważmy, że słowo „obnażony” opisuje skutek jakiejś czynności; człowiek obnażony to taki, który przeszedł proces „obnażania”, czyli odzierania, usuwania. Od niepamiętnych czasów człowiek obnażony wydawał się naszym przodkom nie tyle czymś naturalnym, co nienormalnym – nie kimś, kto postanowił się nie ubrać, lecz kimś, kto został z jakiegoś powodu rozebrany. Jest zwykłym faktem, że nagość podkreśla nasze wspólne człowieczeństwo, a tonuje i ukrywa indywidualność – aby się o tym przekonać, wystarczy zajrzeć do męskiej łaźni. W pewnym sensie ubrani jesteśmy „bardziej sobą”. Obnażeni kochankowie przestają być jedynie Janem i Marią, podkreśleniu ulega ich uniwersalna męskość i kobiecość. Można wręcz powiedzieć, że przywdziewają nagość niczym ceremonialną szatę albo kostium do szarady. Musimy się bowiem zawsze wystrzegać niewłaściwej powagi, szczególnie uczestnicząc w pogańskim sakramencie naszych miłosnych inicjacji. Mitologiczny Niebiański Ojciec jest przecież niczym więcej jak pogańskim przeczuciem Tego, który jest znacznie większy od Zeusa i znacznie bardziej męski od męzczyzn.

Śmiertelny mężczyzna nie dorównuje nie tylko Bogu, ale nawet Niebiańskiemu Ojcu z mitów i nie ma prawa chodzić w jego koronie: może najwyżej nosić jej kopię ze lśniącej pozłotki. Nie mówię tego w sposób pogardliwy. Lubię rytuały i prywatne przedstawienia teatralne, a nawet szarady. Papierowe korony mają swoje miejsce, a we właściwym kontekście bywa to nawet miejsce ważne. W ostatecznym rozrachunku nie są wcale błahsze („jeśli je ulepszyć wyobraźnią”*) niż wszelkie ziemskie godności.

Wspominając o tym pogańskim sakramencie, czuję się zarazem w obowiązku przeciwdziałać niebezpieczeństwu, że zostanie on pomyłony z tajemnicą nieskończenie wyższego rzędu. Tak jak natura dokonuje koronacji człowieka w chwilowym akcie seksualnym, tak też prawo chrześcijańskie koronuje go w stałym związku małżeńskim, niejako nakładając na niego obowiązek przewodzenia w małżeństwie. Jest to koronacja zupełnie innego rodzaju, i tak jak łatwo jest potraktować tajemnicę seksualności z nadmierną powagą, tak też łatwo można potraktować tajemnicę chrześcijańską zbyt lekko. Pisarze chrześcijańscy – w tym John Milton – nieraz wypowiadali się o roli męża jako głowy związku z tak błogim samozadowoleniem, że aż mróz przechodzi po kościach. W tej kwestii musimy się zwrócić z powrotem do Biblii. Mąż jest głową żony wyłącznie o tyle, o ile jest dla niej tym samym, co Chrystus dla Kościoła. Musi ją kochać tak, jak Chrystus umiłował Kościół: Chrystus, który – jak czytamy dalej – „wydał za niego samego siebie” (Ef 5,25). Zatem prawdziwa rola głowy związku nie spełnia się w tego rodzaju mężu, jakim

* William Shakespeare, *Sen nocy letniej*, tłum. Stanisław Barańczak, Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 1992, s. 128.

zostałby z chęcią każdy, ale w takim człowieku, któremu małżeństwo najbardziej przypomina ukrzyżowanie; gdzie żona najwięcej otrzymuje i najmniej z siebie daje, gdzie w swej przyrodzonej naturze najmniej zasługuje na miłość. Albowiem i Kościół nie posiada innego piękna niż to, które otrzymuje od Oblubieńca; Oblubieniec nie znajduje piękna w Kościele, lecz sam jego piękno tworzy. Namaszczenie, które z męża czyni głowę związku, jest symbolem budzącej grozę koronacji. Trzeba go szukać nie w radościach małżeństwa, lecz w jego smutkach; w chorobach i cierpieniach dobrej żony lub wadach złej, w niestrudzonej (lecz dyskretnej) opiece i niewyczerpanej gotowości do przebaczenia – właśnie przebaczenia, a nie rezygnacji. Tak jak Chrystus dostrzega w niedoskonałym, pysznym, fanatycznym albo letnim Kościele ziemskim tę, która kiedyś stanie się Oblubienicą bez zmarszczki ani skazy, i to właśnie stara się osiągnąć, tak samo mąż, którego wiodąca rola jest podobna do Chrystusa (a innej nie wolno mu przyjmować), nigdy nie traci nadziei. Jest jak król z legendy, który przez dwadzieścia lat nie przestawał liczyć, że poślubiona przez niego z miłości żebaczka nauczy się prawdomówności i schludności*.

Nie chcę przez to stwierdzić, że zawarcie małżeństwa skazanego na podobną gorycz jest rzeczą cnotliwą czy mądrą, tak samo jak nie jest cnotliwe ani mądre dążyć do niepotrzebnego męczeństwa czy celowo wystawiać się na ryzyko prześladowań. Niemniej to właśnie prześladowany albo umęczony chrześcijanin w sposób najczystszy realizuje wzorzec Mistrza. Dlatego kiedy już dojdzie do takiego

* Aluzja do średniowiecznej legendy o królu imieniem Cophetua, który zapalał miłością do żebaczki Penelophony. Według legendy król poślubił żebaczkę, małżonkowie przeżyli wspólnie długie życie i spoczęli na koniec w jednym grobie.

niosącego udręczenie małżeństwa, rola męża jako „głowy” będzie najbardziej podobna do roli Chrystusa, o ile tylko uda mu się wytrwać we właściwej postawie.

Nawet najsurowsza feministka niepotrzebnie zazdrości mojej płci korony, którą nosimy w ramach tego misterium, czy to w aspekcie pogańskim, czy chrześcijańskim. W tym pierwszym przypadku korona jest z papieru, w tym drugim – z cierni. Prawdziwe małżeństwo nie polega na tym, że mężowie zbyt gorliwie będą się domagać cierniowej korony, lecz że pozwolą ją nosić żonie (ewentualnie ją to tego zmuszą).

Od seksualności jako cielesnego elementu miłości erotycznej chciałbym teraz przejść do miłości erotycznej w sensie pełnym. Zauważmy przy tym, że powtarza się tu pewna prawidłowość. Otóż tak jak seksualność istniejąca w ramach miłości erotycznej naprawdę wcale nie stawia sobie za cel przyjemności, tak też miłość erotyczna bynajmniej nie stawia sobie za cel szczęścia. Może nam się tak wydawać, jednak w chwili próby okazuje się inaczej. Każdy wie, że nie ma co próbować dwojga kochanków zniechęcić do siebie nawzajem, dowodząc, że ich małżeństwo będzie niešťęśliwe. Nie posłuchają nas nie tylko dlatego, że nam nie wierzą, choć nie wątpię, że najczęściej rzeczywiście nie uwierzą. Jednak gdyby nawet uwierzyli, nie dadzą się zniechęcić. Oto właśnie oznaka miłości erotycznej, że pod jej wpływem wolimy cierpieć brak szczęścia razem z ukochaną osobą, niż cieszyć się szczęściem bez niej. Nawet ludzie dojrzały i doświadczeni życiowo, którzy mają świadomość, że złamane serca potrafią się goić i którzy rozumieją, że wystarczy się uzbroić w cierpliwość i znieść obecne cierpienie rozstania, a za dziesięć lat będą prawie na pewno szczęśliwsi niż w małżeństwie – nawet oni nie zechcą się rozstać. Dla miłości erotycznej wszelkie takie kalkulacje są

bez znaczenia, tak samo jak brutalnie chłodna refleksja Lu-
krecjusza nie ma wpływu na seksualność. Nawet kiedy nie
da się nie zauważyć, że małżeństwo z ukochaną osobą nie
może prowadzić do szczęścia – kiedy nie oferuje ono inne-
go życia niż opieka nad nieuleczalnym inwalidą, borykanie
się z beznadziejną biedą, wygnaniem czy hańbą – miłość
erotyczna bez wahania stwierdza: „Lepszy brak szczęścia
z nią niż szczęście bez niej. Choćby i serce miało pęknąć,
byle tylko razem”. Jeśli głos, który w sobie słyszymy, mówi
inaczej, nie jest on głosem miłości erotycznej.

Oto wzniosłość i straszliwość miłości. Zauważmy jed-
nak przy tym, że wzniosłość znowu sąsiaduje tu z lekko-
ścią i skłonnością do zabawy. Tak samo jak seksualność,
miłość erotyczna jest przedmiotem niezliczonych żartów.
Nawet kiedy sytuacja dwojga kochających się osób jest
tak tragiczna, że postronny widz nie może się powstrzy-
mać od łez, oni sami – czy to w biedzie, czy szpitalu, czy
w więzienny dzień odwiedzin – są zaskoczeni wesołością,
od której widzowi (ale nie im samym) kraje się serce. Nic
bardziej błędnego niż pomysł, że śmiech z drugiej osoby
musi być zawsze nieprzyjazny. Dopóki zakochani dorośli
nie mają dziecka, z którego mogliby się śmiać, zawsze będą
się śmiali z siebie nawzajem.

W tej właśnie wzniosłości ukrywa się zarodek niebez-
pieczeństwa miłości erotycznej. Miłość jawi się jako bo-
gini, a towarzyszące jej całkowite oddanie i pogarda dla
szczęścia czy własnej korzyści robią wrażenie przesłania
z wiecznego świata.

A przecież miłość erotyczna sama w sobie nie może być
głosem samego Boga. Przy całej swej wzniosłości i pogardzie
dla jednostkowych potrzeb może ona popychać człowieka nie
tylko do rzeczy dobrych, ale i złych. Nie ma nic płytszego

od przekonania, że miłość prowadząca do życia w grzechu jest zawsze jakościowo niższa – bardziej zwierzęca i trywialna – niż ta, która zmierza do wiernego, owocnego i chrześcijańskiego małżeństwa. Miłość, która wie dzie do najbardziej okrutnych i wiarołomnych związków z towarzyszącymi jej samobójstwami i morderstwami włącznie, raczej nie jest kapryśnym pożądaniem ani uczuciem od niechcenia. Miewamy tu do czynienia z miłością erotyczną w całym jej przepychu – rozpaczliwie szczerą, gotową do każdej ofiary z wyjątkiem wyrzeczenia się drugiej osoby.

Niektórzy myśliciele i ich naśladowcy uznawali głos miłości erotycznej za autentycznie transcendentny i próbowali uzasadniać absolutny charakter jego żądań. Platon twierdził, że zakochanie jest wzajemnym rozpoznaniem się na ziemi dusz, które zostały dla siebie wybrane w poprzednim, niebiańskim istnieniu. Poznanie ukochanej osoby to zrozumienie, że „kochaliśmy się przed narodzeniem”. Jeśli potraktujemy to stwierdzenie jako mit, pięknie wyraża ono uczucie, które kochające się osoby żywią wobec siebie nawzajem. Gdybyśmy jednak chcieli je zrozumieć dosłownie, mielibyśmy do czynienia z pewną kłopotliwą konsekwencją – otóż musielibyśmy dojść do wniosku, że w owym zapomnianym przez nas życiu niebiańskim panuje taki sam bałagan jak na ziemi. Zdarza się bowiem, że miłość erotyczna łączy najbardziej niedopasowanych partnerów; wiele nieszczęśliwych małżeństw – i to takich, które od początku zapowiadają nieszczęście – zaczyna się od znalezienia w miłości erotycznej swojej „drugiej połówki”.

W obecnych czasach łatwiej jest zaakceptować inną teorię, którą można by określić jako romantyzm w duchu Shawa, choć sam George Bernard Shaw wołałby pewnie określenie „romantyzm metabiologiczny”. Według niego

miłość erotyczna przemawia głosem *élan vital*, siły życiowej, którą nazywał też „apetytem ewolucyjnym”. Ogarniając taką czy inną parę ludzi, siła życiowa poszukuje rodziców (albo przodków) dla przyszłego nadczłowieka. Siłę tej obojętne są takie kwestie jak szczęście obojga kochanków czy zasady moralności, jej celem jest bowiem rzecz, którą Shaw uznaje za coś znacznie ważniejszego, to jest przyszła doskonałość naszego gatunku. Jeśli jednak sprawy rzeczywiście tak się mają, trudno zrozumieć, czy powinniśmy być posłuszni impulsom siły życiowej – a jeśli tak, to dlaczego. Te obrazy nadczłowieka, które nam przedstawiano do tej pory, są tak odpychające, że należałoby wręcz z miejsca ślubować celibat, aby uniknąć ryzyka spółdzenia podobnego monstrum. Po drugie, teoria ta prowadzi nieodparcie do wniosku, że siła życiowa sama za bardzo nie wie, jak ma się wziąć do rzeczy. Z tego, co widać, nie wydaje się, żeby obecność czy siła miłości erotycznej między dwojgiem ludzi gwarantowały im posiadanie potomstwa, nie mówiąc nawet o potomstwie jakiejś szczególnej jakości. Receptą na wspaniałe dzieci są dwie dobre linie krwi (mówiąc językiem hodowców), a nie dwoje bardzo zakochanych ludzi. A poza tym cóż takiego porabiała właściwie siła życiowa przez te wszystkie niezliczone pokolenia, kiedy płodzenie dzieci zależało w bardzo niewielkim stopniu od miłości erotycznej, a w przeważającym – od małżeństw ustalanych przez rodziców, niewolnictwa i gwałtu? Czy dopiero teraz wpadła na genialny pomysł, jak ma się zabrać do ulepszania gatunku ludzkiego?

Chrześcijaninowi nie na wiele się przyda transcendentalizm erotyczny w wydaniu Platona czy George’a Bernarda Shawa. Nie jesteśmy czcicielami siły życiowej i nic nie wiemy o wcześniejszych istnieniach. Kiedy miłość erotyczna

przemawia do nas niczym Bóg, nie wolno nam traktować jej głosu z bezwarunkowym posłuszeństwem. Tak samo zresztą nie możemy ignorować jej boskiego charakteru czy zaprzeczać jego istnieniu. Miłość ta rzeczywiście i autentycznie podobna jest do Miłości, której na imię Bóg. Nosi w sobie prawdziwą bliskość Boga w sensie podobieństwa, choć nie zawsze i niekoniecznie bliskość w sensie stopnia przybliżenia. Więcej – jeśli ją uczymy w naszym życiu w takim zakresie, w jakim pozwala na to miłość Boga i bliźnich, może się dla nas stać sposobem przybliżania się do Boga. Obecne w niej całkowite oddanie stanowi wbudowany w naszą naturę paradygmat czy też przykład miłości, którą człowiek powinien praktykować wobec Boga. Tak jak miłośnikowi natury przyroda otwiera oczy na znaczenie słów „majestat” i „chwała”, tak też miłość erotyczna pozwala nam zrozumieć, co oznacza *caritas* – miłość Boga i bliźniego. To tak, jakby za pośrednictwem miłości erotycznej Chrystus mówił do nas: „Otóż tak właśnie, z taką samą hojnością i nie bacząc na koszty, macie kochać Mnie i najmniejszego z tych braci Moich”. Dla miłości erotycznej ta warunkowa cześć będzie się oczywiście różnić w zależności od osobistej sytuacji. Niektórzy muszą się jej całkowicie wyrzec (ale nie wolno im nią pogardzać), inni mogą prowadzić życie małżeńskie, w którym miłość erotyczna będzie paliwem i wzorem do naśladowania – bo sama nigdy nie będzie wystarczająca i może przeżyć wyłącznie wtedy, gdy będzie stale oczyszczana i potwierdzana przez wyższe zasady.

Kiedy jednak czcimy miłość erotyczną bez zastrzeżeń i jesteśmy jej bezwarunkowo posłuszni, staje się ona demonem. A takiej czci i takiego właśnie posłuszeństwa się od nas domaga. Miłość jest bosko obojętna na pokusy

samolubstwa, ale zarazem cechuje ją demoniczny bunt przeciwko wszelkim roszczeniom, czy to boskim, czy ludzkim, które mogłyby jej stanąć naprzeciw. Dlatego poeta mówi:

*Nie poruszyś zakochanych, prosząc o ich względy,
Gdy przeciw nim wystąpisz, uczynisz męczenników*.*

Słowo „męczennicy” jest tu doskonale dobrane. Wiele lat temu pisałem o średniowiecznej poezji miłosnej i jej dziwnym tworze: na wpół zmyślonej, na wpół poważnej „religii miłości”. Byłem wtedy na tyle ślepy, że potraktowałem to jako zjawisko niemal czysto literackie. Dzisiaj jestem mądrzejszy. Miłość erotyczna z natury domaga się religijnej czci. Ze wszystkich miłości jej właśnie najbardziej zagraża to niebezpieczeństwo, bo też u szczytu swej potęgi to ona najbardziej przypomina bóstwo. Sama z siebie przekształca zakochanie w formę religii.

Teologowie często lękali się w miłości erotycznej ryzyka bałwochwalstwa. Jak sądzę, chodziło im o to, że osoby zakochane będą traktować się nawzajem jako bóstwa. Nie wydaje mi się to prawdziwym zagrożeniem; z pewnością nie jest tak w małżeństwie. Wobec cudownej prozy i praktycznej intymności małżeńskiego życia postawa taka byłaby absurdem, podobnie jak wobec zażyłości, w którą niemal zawsze otulona pozostaje miłość erotyczna. Wątpię, by nawet w czasie zalotów ktokolwiek, komu dane było poczuć pragnienie Niestworzonego lub choćby o tym marzyć, uznał, że kochana osoba zdoła to uczucie zaspokoić. Osoba

* Cytat z poematu *The Widow in the Bye Street* (1912) autorstwa Johna Masefielda (1878-1967).

kochana może tu być niezmiernie ważna jako przyjaciel, a więc ktoś, kogo tak jak nas przeszywa to samo pragnienie i kto razem z nami pielgrzymuje. Jednak jako przedmiot owego pragnienia osoba taka byłaby (chcę to ująć delikatnie) czymś śmiesznym. Moim zdaniem prawdziwe niebezpieczeństwo polega na tym, że kochankowie będą otaczać boską czią nie siebie nawzajem, lecz samą miłość.

Nie mam oczywiście na myśli, że zaczną wznosić ołtarze albo modlić się do swojej miłości. Bałwochwalstwo, o którym mówię, widać w popularnym przekręceniu sensu słów Jezusa: „Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała” (Łk 7, 47). Z kontekstu, zwłaszcza z zamieszczonej wcześniej przypowieści o dłużnikach, jasno widać, że chodzi o taką myśl: „Wielka miłość tej kobiety pokazuje, jak wielkie były grzechy, które jej odpuściłem” (słowo „ponieważ” użyte jest tu w takim samym znaczeniu jak w zdaniu: „Na pewno nie wyszedł, ponieważ w korytarzu wisi jego kapelusz” – obecność kapelusza nie jest przyczyną, dla której mężczyzna jest w domu, lecz prawdopodobnym dowodem jego obecności). Jednak tysiące ludzi rozumie ten fragment zupełnie inaczej. Najpierw zakładają – bez żadnych dowodów – że grzechy kobiety były grzechami przeciwko czystości, choć równie dobrze mogłyby to być grzechy lichwy, oszukiwania klientów kupujących od niej towary czy okrucieństwa wobec dzieci. Następnie uznają, że Jezus mówi: „Wybaczam jej grzechy, bo była bardzo zakochana” – w domyśle stwierdzając, że wielka miłość erotyczna łagodzi czy wręcz sankcjonuje każdy czyn, do którego prowadzi.

Kiedy kochankowie mówią o jakimś nagannym uczynku: „Zrobiliśmy to z miłości”, zauważmy ton, jakim mówią. Człowiek, który stwierdza: „Zrobiłem to ze strachu”, albo

„Zrobiłem to ze złości”, mówi zupełnie inaczej; usprawiedliwia się, bo czuje, że popełnił rzecz, która wymaga usprawiedliwienia. Ale kochankowie rzadko mówią w ten sposób. Zauważmy drżenie głosu, nieomal nabożną cześć, z jaką wymawiają słowo „miłość” – ludzie ci powołują się nie tyle na „okoliczności łagodzące”, ile na odgórną decyzję, na którą nie mieli wpływu. Takie wyznanie może niemal graniczyć z przechwałką, skrywa się w nim ślad wyzwania. „Uczyniłeś z nich męczenników”. W skrajnych przypadkach ich słowa wyrażają wręcz cichą, lecz niewzruszoną lojalność wobec bóstwa miłości.

„W świetle prawa miłości powody te słuszne były”, stwierdza Dalila u Johna Milтона*. W tym właśnie rzecz – w świetle prawa miłości. Ludzie zakochani mają własne „prawo”, własną religię, własnego boga. Tam, gdzie obecna jest prawdziwa miłość erotyczna, opór wobec jej poleceń wydaje się apostazją. Choć z chrześcijańskiego punktu widzenia opieramy się po prostu pokusie, miłość przemawia głosem na poły religijnego obowiązku, mówi o gorliwym praktykowaniu Miłości. Wokół zakochanych tworzy własną religię. Francuski pisarz i filozof Benjamin Constant (1767-1830) zauważa, że miłość w ciągu kilku tygodni czy miesięcy potrafi między kochankami stworzyć wspólną przeszłość, która w ich własnych oczach staje się niemal odwieczna. Oboje wracają do niej stale z czcią i zdziwieniem, tak jak psalmiści wracali do historii Izraela. Ta przeszłość staje się w religii miłości odpowiednikiem Starego Testamentu – historią aktów sądu i miłosierdzia wobec pary wybranej, aż do chwili, kiedy oboje zdali sobie sprawę, że są zakochani. Od tej chwili zaczyna się ich

* Cytat z poematu *Samson Agonistes*.

Nowy Testament. Teraz pozostają pod panowaniem nowego prawa, będącego miłosnym odpowiednikiem łaski. Stali się nowym stworzeniem. „Duch” miłości erotycznej unieważnia i zastępuje wszelkie prawa, których nie wolno im „opłakiwać”.

Miłość wydaje się sankcjonować najróżniejsze czyny, na które w innej sytuacji nigdy by się nie poważyli. Nie chodzi mi tu wyłącznie – ani nawet głównie – o czyny naruszające czystość. Równie dobrze mogą to być niesprawiedliwości albo krzywdy wyrządzane światu zewnętrznemu. Wobec własnej miłości kochankowie będą wzorem pobożności i gorliwości – mogą mówić sobie nawzajem niemal ofiarnym tonem: „Zaniedbuję rodziców (zostawiam dzieci, zdradzam partnera, zawodzę przyjaciela w największej potrzebie), ale robię to dla naszej miłości”. „W świetle prawa miłości powody te słuszne były”. Może nawet kochankowie dostrzegają w swoich poświęceniach szczególną zasługę – czy na ołtarzu miłości można złożyć kosztowniejszą ofiarę niż własne sumienie?

Na ponury żart zakrawa przy tym fakt, że miłość erotyczna, której głos wydaje się przemawiać z królestwa wiecznego, wcale nie musi się okazać czymś stałym. Miłość dobrze znana jest z tego, jak krótkie bywa jej życie. Świat nie milknie od skarg na jej zmienność. Najbardziej zdumiewające jest owo połączenie zmienności z zapewnieniami o jej wiecznym trwaniu. W miłości pragniemy wierności na całe życie i ją też obiecujemy – zapewnień tych nie trzeba się domagać, narzucają się same. „Zawsze będę ci wierny” – to niemal pierwsze słowa, które wypowiada mężczyzna, i to szczerze, bez obłudy. Z tego urojenia nie uleczy go żadne doświadczenie. Wszyscy słyszeliśmy o ludziach, którzy zakochują się co kilka lat – za każdym razem są szczerze

przekonani, że „tym razem to już naprawdę to”, że ich wędrówka dobiegła końca, znaleźli prawdziwą miłość i będą jej wierni do końca życia.

A jednak w pewnym sensie miłość erotyczna sprawia, że takie zapewnienia są słuszne. Zakochanie jest zdarzeniem tego rodzaju, że słusznie odrzucamy jako coś nieznośnego sam pomysł, że nasz stan może być przejściowy. Jednym wysokim susem udało nam się przesadzić potężny mur własnego ja – nawet cielesny apetyt nabiera altruistycznego wymiaru, osobiste szczęście odrzucamy jako rzecz trywialną, interes drugiej osoby osadzamy w samym sercu własnego istnienia. Spontanicznie i bez wysiłku spełniliśmy (wobec jednej osoby) prawo kochania bliźniego jak siebie samego. Miłość taka jest obrazem – przedsmakiem – tego, czym musimy się stać wobec wszystkich, jeśli ma w nas rządzić niepodzielnie Miłość, której na imię Bóg. Jeśli uczynimy z miłości dobry użytek, stanie się ona wręcz przygotowaniem do owej wiecznej miłości zbawionych. Myśl, że z takiego stanu można spaść z powrotem na ziemię, po prostu się „odkochać”, staje się jakby odwrotnością zbawienia. Miłość erotyczna zostaje zmuszona do złożenia obietnic, których sama z siebie nie będzie w stanie dotrzymać.

Czy w owym stanie altruistycznego wyzwolenia da się wytrwać przez całe życie? Najwyżej przez tydzień – nawet najwspanialszy zakochany osiąga tak wywyższony stan raz na jakiś czas. Okazuje się, że nasze dawne „ja” wcale nie jest tak martwe, jak się wydawało – nie inaczej, niż to bywa z nawróceniem religijnym. W obu przypadkach nasze „ja” na chwilę upada jak długi, lecz wkrótce zdoła się podnieść, a przynajmniej oprzeć na łokciu – nawet jeśli nie będzie już zdolne do ogłuszającego ryku, to przynajmniej będzie

się dąsać i marudzić, albo chociaż jęczeć niczym żebrak, zaś seksualność często popadnie z powrotem w koleiny banalnej zmysłowości.

Jednak takie upadki nie zniszczą małżeństwa dwojga przyzwoitych, rozsądnych ludzi. One mogą jedynie zagrozić – być może z rujnującym skutkiem – tym osobom, które z miłości erotycznej uczyniły sobie bóstwo, które sądziły, że miłość jest jak bóg potężna i prawdomówna. Spodziewały się, że zwykłe uczucie wystarczy im za wszystko, i to na zawsze. Kiedy dochodzi do rozczarowania, winę zrzucają na miłość, a jeszcze częściej na partnera. Jednak w rzeczywistości miłość erotyczna, złożywszy gigantyczne obietnice i przekazawszy kochankom przeblysłk tego, do czego jest zdolna, „zrobiła swoje”. Miłość niczym rodzic chrzestny wypowiada słowa ślubowania, którego to my musimy dotrzymać. To my co dzień musimy mozolnie przekształcać nasze życie na wzór przeblysków, które odsłoniła przed nami miłość. Musimy wykonywać jej pracę nawet wtedy, kiedy miłość jest nieobecna. Wiedzą o tym wszyscy szczęśliwie kochający się ludzie, choć jeśli nie mają skłonności do refleksji albo daru wymowy, zdobędą się najwyżej na parę konwencjonalnych powiedzeń, takich jak „żyje się razem w doli i niedoli”, „mówi się trudno i kocha się dalej”, „nie można od człowieka za wiele wymagać”, „potrzeba trochę zdrowego rozsądku” i tym podobne. Każdy szczęśliwie zakochany chrześcijanin ma świadomość, że tej skromnej z pozoru postawy nie da się dotrzymać bez pokory, miłości bliźniego i Bożej łaski; że w pewnym sensie w takiej postawie zamyka się całe życie chrześcijańskie.

Tym samym miłość erotyczna – jak wszystkie inne miłości, choć bardziej od nich wyraźnie za sprawą swej siły, słodyczy, grozy i wzniosłości – ukazuje prawdziwą naturę.

Sama z siebie nie może być tym, czym być musi, jeśli chce być sobą. Potrzebuje pomocy, a zatem kierownictwa. Bóstwo musi umrzeć lub stać się demonem, o ile nie będzie posłuszne Bogu. Byłoby dobrze, gdyby w takiej sytuacji zawsze umierało. Bywa jednak, że trzyma się życia i bezlitośnie skuwa wtedy dwójkę wzajemnych dręczycieli, całych poparzonych trucizną miłosnej nienawiści, chciwie domagających się miłości i nieubłaganie jej skąpiących, podejrzliwych, urażonych, zawsze próbujących postawić na swoim, pragnących wolności i stanowczo jej wzbraniających drugiej osobie, ludzi, których życie upływa na robieniu „scen”. Poczytaj *Annę Kareninę* i nie sądz, że takie rzeczy zdarzają się tylko w Rosji. Stara hiperbola kochanków, którzy mówią o „zjadaniu” się nawzajem, może się okazać przerażająco prawdziwa.